

Łukasz Maślanka: Elity i masowa edukacja

Polska alma mater będzie prowincjonalna tak długo, jak prowincjonalna będzie polska gospodarka i prowincjonalne będzie miejsce Polski na politycznej mapie Europy – pisze Łukasz Maślanka w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: Na co nam uniwersytet?

Jednym z najbardziej doniosłych, choć niezbyt często zauważanym poza uczelniami skutkiem niżu demograficznego jest umasowienie edukacji na poziomie uniwersyteckim. Jeszcze dekadę temu indeks studiów dziennych państwowego uniwersytetu, politechniki czy akademii medycznej był dostępny dla stosunkowo ograniczonej grupy maturzystów. Dzisiaj nawet renomowane wszechnice walczą o studenta. Pojawiają się głosy, że powszechnie diagnozowany kryzys szkolnictwa wyższego jest spowodowany właśnie tym zjawiskiem: wykładowcy obniżają wymagania, zmuszeni są do infantylizowania swoich zajęć w celu ich „uatrakcyjnienia”, studenci nie muszą już wkładać dużego wysiłku w to, by utrzymać się na studiach, zaś odejście z uczelni następuje już prawie wyłącznie na własne życzenie. Jest w tym sporo racji. Masowe szkolnictwo wyższe nie wywiązuje się z niezwykle istotnego zadania formowania przyszłych elit państwowych i społecznych. Ale skoro szybkie przezwyciężenie spadku urodzeń (a tym bardziej dorośnięcie ewentualnych roczników wyżowych do wieku pomaturalnego) nie jest możliwe, jedynym rozwiązaniem wydaje się sztuczne ograniczenie liczby miejsc na uczelniach oraz zmiana sposobu finansowania uczelni w taki sposób, by nie zależało ono koniecznie od

liczby studentów. Czy takie ograniczanie jest jednak etyczne? Skoro w społeczeństwie istnieje zapotrzebowanie na studia, dlaczego państwo miałoby restrykcyjnie ograniczać „moce przerobowe” uniwersytetów?

Znacznie lepszym rozwiązaniem wydaje mi się wprowadzenie oficjalnego podziału na szkoły „elitarnie” i „masowe”. Przykładem może być francuski system tzw. grandes écoles. Najbardziej prestiżowe uczelnie istnieją tam obok systemu uniwersyteckiego. Dostęp do nich jest bardzo ograniczony, jednak, w przeciwieństwie do modelu brytyjskiego, grandes écoles są państwowe i studiowanie na nich nie wymaga rujnujących inwestycji. Różnice między systemem „masowym” a „elitarnym” pojawiają się już na poziomie rekrutacji: na uniwersytety zapisać się może praktycznie każdy, natomiast dostęp do grandes écoles obwarowany jest ciężkimi egzaminami wstępnymi, które poprzedzone są dwuletnim kursem w tzw. classes préparatoires. Spora część elit politycznych i biznesowych Republiki Francuskiej ma za sobą doświadczenie tych szkół. Niesie to ze sobą wiele zalet: doświadczenie studiów w wąskim gronie sprzyja wykształceniu wspólnego idiomu, co ułatwia z kolei porozumienie ludzi ponad podziałami politycznymi. Spory w polityce francuskiej są ostre i prowadzone często w sposób brudny, lecz w najważniejszych sprawach dominuje przywiązanie do idei państwa, które jest efektem takiej właśnie formacji. Także niszczące dla francuskiego szkolnictwa efekty rewolucji kulturowej końca lat 60. dotarły do grandes écoles w sposób złagodzony.

Jednym z czynników, które niszczą polską politykę jest fakt, że średnie i starsze pokolenie elit pobierało naukę na uczelniach zdominowanych przez narzuconą z zewnątrz ideologię, co w sposób naturalny zachęcało do buntu przeciwko instytucjom. Z kolei generacja najmłodsza jest już produktem szkół umasowionych lub pogrążonych w kryzysie lat 90. i

2000. Nadmiar nonkonformizmu (graniczącego z anarchią) starszych łączy się ze skrajną bezideowością młodych. Przykład sporu o Trybunał Konstytucyjny jest tutaj bardzo instruktywny: obydwie jego strony traktują tę ważną instytucję jako zwornik pewnego układu interesów, który – w zależności od przynależności plemiennej – należy ocalić lub zniszczyć. I co najgorsze: diagnoza ta jest trafna. Zjawisko to opisał kilka miesięcy temu Krzysztof Mazur w tekście: Jarosław Kaczyński – ostatni rewolucjonista III RP. Głównym zadaniem francuskich grandes écoles, poza przekazaniem solidnych kompetencji w różnych dziedzinach, jest wykształcenie w przyszłych francuskich elitach kilku ważnych odruchów: „myślenia po francusku”, szacunku do instytucji, zaufania do państwa oraz poczucia nierozzerwalnej więzi między racją stanu a pomyślnością jednostek oraz prywatnych podmiotów gospodarczych.

W ostatnich miesiącach pojawiło się w Polsce, także wśród elit naukowych, całe mnóstwo „płaczek po instytucjach”, które oskarżają obecną ekipę rządzącą o „psucie państwa”. W normalnych warunkach należałoby się do tego chóru przyłączyć, ale przecież wiemy doskonale, że treść i kadry, jakimi wypełnione są te instytucje tylko mało spostrzegawczej prasie zachodniej mogły wydawać się wzorowym systemem demokratycznym. Z kolei aparat propagandowy obozu rządowego prowadzi prymitywną kampanię zohydzenia samych tych instytucji, tak jakby nowoczesne państwo mogło bez nich funkcjonować. Obawiam się, że ten spór nie zostanie zażegnany, dopóki fasadowy system instytucjonalny III RP nie zostanie wypełniony ludźmi uformowanymi według nowych wzorców, których nie może dać żadna z dwóch zwalczających się w polskiej polityce wielkich grup interesów. Paradoks polega na tym, że reforma edukacji, w tym hipotetyczne powołanie polskiej wersji grandes écoles także wymaga decyzji politycznej. Trudno oczekiwać od współczesnych

polskich elit, by oparły się pokusie nasycania takich nowych szkół własną treścią ideologiczną. Konformizm wobec rządzącego obecnie Europą pokolenia '68 dyktował poprzedniej ekipie konieczność wspierania finansowego ośrodków intelektualnych zalecających polskiemu społeczeństwu poddanie się tym samym procesom dezintegracyjnym, które niszczą obecnie zachód Europy. Zaplecze ideologiczne obecnej władzy może z kolei dążyć do tego, by wprowadzić w takiej szkole elementy edukacji religijnej. Tymczasem pewne minimum neutralności ideologicznej jest konieczne właśnie po to, by wpoić młodym ludziom pochodzącym z bardzo różnych środowisk tych kilka wcześniej wspomnianych „dogmatów państwowych”. Postulowałbym zatem refleksję nad tym, czy w tak bardzo podzielonym i intelektualnie skolonizowanym społeczeństwie jak polskie, możliwa jest jakaś rodzima wersja konfucjanizmu. Oczywiście ktoś mógłby mi wytknąć, że francuska szkoła, w tym grandes écoles, którą przedstawiam tu za wzór, wcale nie jest aideologiczna, gdyż opiera się na tradycji laicko-oświeceniowej. No tak, ale ta tradycja stała się kodem kulturowym znakomitej większości Francuzów, co nadaje jej pewne cechy neutralności. W polskich warunkach taką kompromisową „neutralnością” wydaje mi się szacunek dla typowej dla polskiego społeczeństwa niechęci do doktrynerstwa, fanatyzmu przy jednoczesnym może nawet nieco bezrefleksyjnym przywiązaniu do tradycji.

O ile powstanie szkoły może zostać zadekretowane przez władzę, o tyle trudno odgórnie ustanowić jej wysoki poziom. W dzisiejszych czasach stanowi o nim nie tylko treść podstawy programowej, lecz także stopień jej podłączenia do krwiobieg gospodarczo-intelektualnego współczesnego świata. Brutalność tej prawdy skazuje nas na pewnego rodzaju bezradność, ale mimo wszystko trzeba ją głośno wypowiedzieć: polska alma mater będzie prowincjonalna tak długo, jak

provincialna będzie polska gospodarka i provincialne będzie miejsce Polski na politycznej mapie Europy. Z nieufnością podchodzę do lansowanej, zwłaszcza przez środowiska ideowe skupione wokół obecnego ministra nauki, tezy o konieczności współpracy nauki z biznesem. Ta „oczywista oczywistość” w warunkach słabego państwa znajduje zazwyczaj swoją realizację w drenowaniu budżetu przez powiązane z władzą podmioty prywatne. Być może to polskim przedsiębiorcom należałoby zadać pytanie, co zrobili dla wsparcia polskiej nauki? System edukacyjny, choć niezwykle istotny, jest usługową gałęzią życia społecznego. Nowo powołane szkoły elitarne będą kształciły elity „wedle stawu grobla” i na miarę naszych skromnych możliwości. Rozwiązaniem nie jest też – stosowane na przykład w XVIII-wiecznej Rosji – masowe ściąganie zagranicznych wykładowców, gdyż przyjadą oni z bagażem swoich doświadczeń, a w nim może się znajdować też racja stanu państw ich pochodzenia. Swoich „Niemców bałtyckich” niestety nie mamy, ale być może pewne nadzieje należy wiązać ze zwiększającą się liczbą studentów zagranicznych w Polsce. Jest młoda imigracja ukraińska. Chociaż pochodzi z państwa pogrążonego w głębokim upadku (i to nie tylko w związku z rosyjską agresją), to jednak społeczeństwo Ukrainy wielokrotnie dawało dowody ogromnego dynamizmu i kreatywności (wystarczy chociażby wspomnieć rozwój spółdzielczości i szkolnictwa ukraińskiego w niesprzyjających warunkach II RP). Ten zastrzyk może z czasem przywrócić polskiej nauce i kulturze pewien rys uniwersalizmu, bez którego wszystko tak karłowacieje. Zauważalna jest także powiększająca się ilość studentów z Dalekiego Wschodu. Jeżeli część z nich w przyszłości postanowi robić karierę w Polsce, może wniesie do naszej rzeczywistości jakieś nowe doświadczenia? Trzeba jednak pamiętać, że napływ cudzoziemców jest ściśle powiązany z atrakcyjnością Polski, której formuła wciąż nie została przez nas odnaleziona. Polska nie stanie się atrakcyjna ani jako kserokopia państw zachodnich, ani jako wiecznie naburmuszone peryferium.

Powracając do koncepcji polskich grandes écoles trzeba dodać, że niesie ona również ze sobą pewne zagrożenia, które można rozpoznać także i we francuskich realiach. Elitarność może być zła i dobra. Zła elitarność (która istnieje powszechnie we Francji) opiera się na hermetyczności i zablokowaniu dróg awansu z przyczyn pozamerytorycznych. Amoralny familiaryzm jest przecież jedną z podstaw polskiego życia społecznego i pozbawiony jest przynależności partyjnej, o czym mogli się w ostatnim roku przekonać co bardziej przytomni wyborcy „Dobrej Zmiany”. Nasz kraj ma również niedobre doświadczenia monopolizacji życia intelektualnego przez środowiska związane z jedną gazetą. Kryterium doboru były tutaj wspólne doświadczenia biograficzne, pochodzenie rodzinne oraz wynikające z tego traumy, którymi zmuszona była żyć przez lata cała Polska. Tymczasem potrzebny jest naprawdę konfucjański dobór tych elit. Być może studiowanie na bardzo prestiżowej uczelni powinno łączyć się z pewnymi wyrzeczeniami w postaci chociażby obowiązkowych prac społecznych. Może szkoły takie powinny być ulokowane w pewnym oddaleniu od najbardziej atrakcyjnych ośrodków miejskich? Czy nie należałoby przeplatać edukacji okresami obowiązkowej służby wojskowej lub podobnych zaangażowań? Wydaje mi się, że jedną z przyczyn wzrostu nastrojów konserwatywnych w obecnej Polsce, ale także Europie Zachodniej, jest zapotrzebowanie na elitę, która nie składa się z przedstawicieli bohemy i innych królów życia, lecz ludzi posiadających – niezależnie od poglądów – w swojej osobowości pewien rys ascetyczny. Społeczeństwo musi przypominać elicie o swoim istnieniu oraz o obowiązkach, jakie ta ostatnia ma wobec zbiorowości. Poczucie nieusuwalności oraz gwarancja dziedziczności są tutaj czynnikami sprzyjającymi zepsuciu.

Istnieje wiele przesłanek do uzasadnionego niezadowolenia z polskiego szkolnictwa. Masowy dostęp do edukacji uniwersyteckiej z pewnością zaburza prawidłowe kształtowanie się elit społecznych i może mieć negatywny wpływ na życie kraju w przyszłości. Receptą nie jest jednak ograniczanie dostępu do wiedzy ludziom, którzy mają przekonanie, o potrzebie jej zdobycia (lub chociażby uzyskania dokumentu to potwierdzającego), lecz umiejętne selekcja najzdolniejszych i poddanie ich „obróbce specjalnej”. Służyć temu mogłyby osobno powołane szkoły. Aby zapobiec jednak oligarchizacji oraz innym patologiom wynikającym ze źle rozumianej elitarności, dostęp do takich szkół powinien być realnie bezpłatny (co uwzględnia również koszty związane z przeniesieniem się poza swoje miejsce zamieszkania), oparty o specjalne warunki doboru (egzamin wstępny) oraz odwoławczy (postępy w nauce powinny być poddawane częstej weryfikacji). Przy tym wszystkim należy jednak pamiętać, że system edukacyjny oraz przekazywane w nim wykształcenie są z jednej strony uwarunkowane poziomem kadr i ludzi, którzy do studiów przystępują, a z drugiej strony „usługową” odpowiedzią na zapotrzebowanie rynku. Peryferyjna Polska będzie miała peryferyjny system edukacji, peryferyjną kulturę i peryferyjną gospodarkę. Zmiana tego stanu rzeczy jest długotrwałym i skomplikowanym procesem, którego przebieg nie zawsze uzależniony jest od woli politycznej suwerena.